

Rozdział pierwszy

Czarnoskóry przybysz pojawił się wczesnym rankiem, długą tyczką popychając swoją pirogę przez mgłę, która spowijała rzekę tak gęsto, że nie było nic widać nawet na rzut kamieniem. Jean Tibbits obserwował go ze swojego krzesła na nabrzeżu, odnotowując skrzętnie krnąbrny rąbek jego zamszowej fedory, białą koszulę zapiętą aż po samą szyję i wyświechtany ze starości czarny wełniany garnitur. Kiedy przybysz nieco się przybliżył, Tibbits zauważył, że miał on podwinięte aż do łydek nogawki, zjawisko rzadko spotykane u odzianych w garnitur mężczyzn. Parę skórzanych półbutów zawiesił sobie na szyi, związawszy je uprzednio ze sobą sznurówkami. Sznurówki były białe, niedopasowane do butów. Murzyn stał na rufie płaskodennej łodzi, manewrując nią w kierunku nabrzeża. Zakończył operację w całkowitej ciszy, jeśli nie liczyć melodyjnych plusków wody uderzającej o burty i cichego stuknięcia, kiedy pokryta porostami łódź przytuliła się do słupa.

Jean Tibbits odezwał się do niego, nie podnosząc głosu ani nie podnosząc się z krzesła.

– Hej, kolego! Czego szukasz?

– Dzień dobry panu – Murzyn dotknął opadającego brzegu kapelusza.
– Przyjechałem za robotą.

– Po co byś tam nie przyjechał, będziesz musiał i tak gdzieś indziej zamieszkać. To tutaj to dok handlowy. – Jako właściciel rozsypującej się floty porzewiałych trawlerów przycumowanych do słupków po obu stronach nabrzeża i jako oficjalny nadzorca doków w Pilotville, Jen Tibbits miał pełny autorytet, aby zarządzać w takich właśnie sprawach.

– Oczywiście, proszę pana – czarnoskóry facet odepchnął się od pomostu, delikatnie zanurzając tyczkę w wodzie, aby poprowadzić swoją łódź

w dalszą drogę po rzece. Tibbits usłyszał, jak nieznajomy mruczy coś melodyjnie pod nosem. Choć bardzo szybko zaczął znikać mu z oczu w gęstej mgłę, mruzcando niosło się jeszcze po wodzie przez dłuższą chwilę, jak to się zwykle dzieje z niskimi dźwiękami. Melodia nie pochodziła z tych stron, a jednak było w niej coś znajomego. Może Tibbits słyszał ją już gdzieś dawno temu, starą melodię pochodzącą z jakiegoś odległego zakątka. Miała na niego przedziwny, niepokojący wpływ. Wrażenie spotęgowane było jeszcze przez to, że mgła całkowicie przesłoniła teraz stopy Murzyna, powodując złudzenie, że jego ciemna, pochylona postać kroczy wprost po wodzie.

– Ej! – zawołał Tibbits. – Możesz przycumować tam opodał!

Murzyn miękko odpowiedział „Dziękuję panu” i popchnął łódź w kierunku błotnistej skarpy niedaleko nabrzeża, na którą wskazał jego rozmówca.

– A jaka to niby robota by cię interesowała? – wrzasnął z drugiej strony małej zatoczki Tibbits.

– A cokolwiek byłoby do zrobienia.

Piroga wbiła się nosem w brzeg.

– To może zajrzyj do szpitala. Tam zawsze trzeba rąk do pracy.

– Dziękuję panu bardzo serdecznie – przybysz wyszedł już z łodzi i przywiązał ją do gałęzi namorzyn. – Można tu zostawić pirogę?

– Piąta za tydzień.

– Nie mam piąta.

– A co masz?

Nieznajomy, dalej na bosaka, zaczął brnąć przez błoto. – Mógłbym załatwić panu trochę owoców persimony.

– Chyba że je wyjmiesz z kieszeni. Bo tu w okolicy persimony nigdzie nie znajdziesz, nawet na lekarstwo. Nic.

– Wierzę, że udałoby mi się znaleźć.

– Nie ma mowy. Nie tutaj.

– Jedną chwileczkę – powiedział Murzyn. Ruszył w kierunku gęstych zarosli namorzynowych kawałeczek w dół rzeki i skręcił, znikając w gęstwinie. Tibbits potrząsnął głową, odchylając się daleko na krześle, aż oparł się plecami o ścianę rozpadającej się szopy, która służyła mu za biuro. Wszyscy wiedzą, że nigdzie w okolicy nie rosły żadne persimony. Ludzie już wiele lat temu wytrzebili je wszystkie co do sztuki.

Nieznajomy ukazał się z powrotem po krótkiej chwili, trzymając kapelusze w dłoniach. Kiedy tak szedł w jego kierunku wzdłuż rzeki, Tibbits po raz

pierwszy zwrócił uwagę, że facet nieco kuleje na jedną nogę. Obok krzesła Tibbitsa stał nieotwarty jeszcze baniak z olejem. Murzyn podszedł do niego nabrzeżem i używając baniaka jako stołu, wysypał na niego zawartość kapelusza. Dojrzałe żółte owoce zabębniły głucho, uderzając o metalową powierzchnię.

– Ile dni mogę tym opłacić? – zapytał.

Tibbits wybałuszył oczy na owoce. – Ale tu nie rosną persimony! – powtórzył.

– Czy to wystarczy na tydzień cumowania, albo coś koło tego?

Tibbits starał się spojrzeć facetowi w oczy, ale Murzyn miał wzrok ciągle wbity w ziemię, jak to było w zwyczaju czarnoskórych, dopóki się z człowiekiem nieco nie oswoili.

– Że niby tak po prostu znalazłeś je w tamtych krzakach, tak?

– Tak, proszę pana.

– A niech mnie piorun trzaśnie – Tibbits wybrał jeden owoc i uważnie mu się przyjrzał. – Uwielbiam persimony.

– Tak, proszę pana.

Wlepiony wzrokiem w twarz nieznanego, wciąż próbując złapać jego spojrzenie, Tibbits zapytał:

– Ja cię znam? – życie w Luizjanie jednak wiele nauczyło czarnoskórego przybysza. Wpatrując się niezmiennie w swoje bosa stopy, nieznanomy potrząsnął tylko lekko głową i niewyraźnie odpowiedział:

– Nie, proszę pana.

Tibbits poczuł przelotny dotyk rozczarowania, kiedy wgrzyzał się w owoc. Nie zwracał sobie głowy obcieraniem soku spływającego po siwej szczecinie, która porastała mu brodę.

– Nie przejmuj się łódką – wymamrotał z twarzą wypchaną wciąż persimoną. – Będzie tu bezpieczna.

W tym momencie nieznanomy Murzyn podniósł wreszcie na chwilę oczy i Jean Tibbits mógł spojrzeć wprost w parę niespotykane niebiańsko błękitnych oczu.

Przybysz podążył nabrzeżem w głąb lądu i wkrótce odkrył, że drewniany chodnik nie kończył się przy brzegu, ale biegł dalej przez bagna. Cyprisy, namorzyny i drzewa tupelowe sterczały z ciemnej jak atrament wody po obu jego stronach, tłocząc się przy brzegach kładki. Niestabilna konstruk-

cja pod jego stopami drżała przy każdym kroku, a od słupków rozchodziły się po powierzchni mokradła koliste fale. Ostrzeżone w ten sposób o jego nadejściu ropuchy zeskakiwały do bagna z unoszących się na powierzchni pniaków albo zwisających nisko gigantycznych paprotników. Sto kroków dalej drewniany pomost skręcał w prawo, skąd można już było zobaczyć poza powiewającymi na wietrze frędzlami mchu luizjańskiego zarysy Pilotville. Wchodząc do osady, zwrócił uwagę na małe drewniane domki stojące na polanie, a za polaną, bliżej rzeki, zobaczył zżarty rdzą metalowy dach fabryki ostryg i krewetek Acme, wznoszący się ponad szczyty cyprysów. Nie było tam jezdni ani betonowych chodników, jedynie te długie drewniane kładki kluczące pomiędzy budynkami. Podeszedł do małego sklepiku. Wysoko na froncie widać było napis Tekstylia Delacroix, namalowany łuszczącą się już czarną farbą, podkreślony cienką czerwoną linią. Trzech białych mężczyzn w poplamionych kombinezonach i niemifosierne brudnych filcowych kapeluszach stało przed budynkiem, rozmawiając po francusku. Jeden z nich przesunął wąski kawałek zaostrzonego na końcu drewna tam i z powrotem przez sieć rybacką, łatając dziury. Cajunowie przerwali rozmowę, aby przyrzec mu się spod przymrużonych powiek. Ze spuszczonego wzrokiem przybysz pozdrowił ich skinieniem głowy, uśmiechnął się i z lekkim zdziwieniem przyjął ich przyjazne pozdrowienie.

Ruszył w dalszą drogę i podejmując na nowo swoje melodyjne mruczando, mijał kolejne niewielkie konstrukcje sklecone z nierówno przyciętych dech, stare już i pozieleniałe od pleśni, powoli rozkładające się pod pordzewiałymi metalowymi dachami. Wszystkie te rudery – głównie o przeznaczeniu mieszkalnym – wznosiły się niepewnie na słupach około dwóch metrów powyżej powierzchni bagna. Kilka z nich skłaniało się ku wodzie pod najbardziej nieprawdopodobnymi kątami, puste pomieszczenia zbyt pochyle, by nadawały się jeszcze do zamieszkania, choć cienkie słupy, na których były zbudowane, tkwiły wciąż nierówno wbite w błotniste podłoże. Jedna stara buda przewróciła się już całkiem na bok i leżała na w pół zatopiona tuż obok pomostu, a czarne wody mokradeł stukały w jej okna.

Idąc dalej, podeszedł do niewielkiego kościółka. W przeciwieństwie do innych budynków, ten niemal dosłownie świecił czystością. Błyszczące czarne ramy okalały kontury okien i drzwi. Ta sama czarna farba ogłaszała nazwę kościoła z prostokątnej deski przytwierdzonej do wybielonej ściany budynku: Kościół Społeczności Pilotville. Zatrzymał się na krótko, żeby zajrzeć przez otwarte drzwi wejściowe. W środku jakaś kobieta zamiatała podłogę.

W malutkim domu modlitwy mieściło się może dwadzieścia składanych drewnianych krzeseł po każdej stronie biegnącego przez środek przejścia. Samotne witrażowe okno na ścianie szczytowej rzucało na wnętrze żółto-czerwone światło, rzadki przykład nabytego w prawdziwym sklepie luksusu w tym prymitywnym otoczeniu. Kolorowe szyby nie wpuszczały do środka zbyt wiele światła. Kobieta przestała zamiatać i wyprostowała się, by mu się przyjrzeć. Zobaczył jej jasne włosy przewiązane kawałkiem szmatki, ale w półmroku nie był w stanie rozróżnić jej rysów twarzy.

– Czy mogę w czymś pomóc? – zapytała. Szybko spuścił wzrok i dotknął brzegu czarnego kapelusza.

– Dziękuję, nie trzeba, proszę pani – odpowiedział. Ruszył dalej, oddalając się od białej kobiety, stawiając kroki z taką pewnością, jakby naprawdę wiedział, dokąd idzie. Lekkie utykanie nie przeszkadzało mu zbyt posuwać się naprzód. W powietrzu wyczuł zapach smażonej na ruszcie ryby, niesiony przez łagodny wietrzyk. Gdzieś niedaleko zaszczekał samotny pies. Obejrzał się za siebie.

Kobieta podeszła do drzwi kościoła, aby za nim patrzeć. Tak właściwie to mogło się здаwać, że cała osada zatrzymała się w swoich zwykłych zajęciach, aby śledzić jego wędrówkę. Mała grupka dzieci podążała za nim w bezpiecznej odległości, szepcząc sobie nawzajem na ucho i chichocząc za zakrywającymi ich buzie rączkami. Niektóre były brązowe od słońca, inne były takie od urodzenia. Żadne nie miało na nogach butów i tylko starsze dziewczynki nosiły bluzki, ale za to każde miało na różnych częściach ciała zaschnięte placki błocka. Nucąc wciąż swoją starodawną melodię, sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej długi sznurek czarnej lukrecji. Oczy dzieci natychmiast rozszerzyły się z zadziwienia. Oderwał kawałek i wrzucił do ust. Następnie, wspierając się na biodrze, pochylił się i położył resztę sznurka na pomoście. Żując powoli w rytm własnego mruczenia, znów ruszył w drogę. Za jego plecami dzieci rzuciły się na lukrecję jak małe drapieżniki.

Za zakrętem nieznajomy trafił na jeszcze jeden kościół, mniej więcej tej samej wielkości co poprzedni. Ten również był świeżo wyszorowany i wybielony. Prawdę mówiąc, budynki były do siebie łudząco podobne, z tym że ten miał na drzwiach łańcuch i kłódkę, a starannie wymalowane litery na drewnianej tablicy oznajmiały, że jest to Afrykański Zbór Boży. Wspiąwszy się na palce, zajrzał do środka przez otwarte okno z boku budynku. W oknach nie było szyb. W panującej w środku ciemności nie był w stanie niczego zobaczyć. Cofnął się, wciąż nucąc tę samą melodię, i spojrzął naj-

pierw w górę na dach, a potem na słupy, na których stał budynek. Kiwając głową, powiedział ledwo słyszalnie

– Tak, Panie – i ruszył dalej.

Na końcu osady, od strony łądu, tam gdzie powietrze zdawało się szczególnie gęste od pyłków kwiatowych i komarów, daleko od orzeźwiającego powiewu znad rzeki, znajdował się Szpital dla Czarnych. Był prawie tak duży jak fabryka Acme, jednak ze wszystkich budynków, które napotkał dotychczas na swej drodze, tylko ten nie cieszył się zabezpieczeniem przed powodzią, jakie zapewniała budowa na wzniesionych wysoko pomostach. Szpital stał samotnie na małym wzniesieniu kilkanaście centymetrów nad normalnym poziomem wody na mokradłach i nie był połączony z resztą osady żadnymi kładkami. Można było tu dojść jedynie wąską ścieżką wysypaną potłuczonymi skorupkami po ostrygach. Jako jedyny budynek zbudowany był z cegły, dziwny wybór budulca jak na ten odizolowany od świata zakątek i niewątpliwie musiał kosztować niemal fortunę. Zatrzymał się u szczytu wąskich schodów prowadzących w dół z kładki. Nie odrywając wzroku od tej przedziwnej budowli, zabił komara, który usiadł mu z tyłu na szyi.

– Boże, zmiłuj się – powiedział, patrząc na brązowy ślad po linii powodzi, który biegł dookoła budynku, mniej więcej metr od ziemi. Ślad dzielił niemal dokładnie na pół zamknięte teraz drzwi wejściowe. Nie widział żadnych śladów zamieszkania, jeśli nie liczyć jednej zasłonki w kolorze tapioki zwisającej bezwładnie wewnątrz otwartego okna. Siatki przeciw komarom i metalowe kraty antywłamaniowe strzegły okna od zewnątrz.

Siadłszy na najwyższym stopniu, robił co mógł, aby usunąć ze stóp zeschnięte błoto. Odwinął nogawki spodni tak, że sięgały teraz kostek i przyklepał je w bezowocnej próbie wyrównania śladów po zagięciach. Zdjął z szyi brązowe skórzane półbuty i rozwiązał białe sznurówki. Wciągając buty na boscie stopy, jeszcze raz rzucił okiem na szpital.

– Panie – powiedział – zmiłuj się nade mną.

– Płacimy czterdzieści pięć centów za dzień – powiedziała siostra Dorota Truett. – Do tego łóżko, jeśli któreś jest wolne. Wyżywienie tylko jeśli coś zostanie z posiłków pacjentów. Nieraz niestety będzie trzeba zapewnić sobie jedzenie we własnym zakresie. U nas się nie przelewa, a pacjenci, rzecz jasna, zawsze mają pierwszeństwo.

– Tak, oczywiście – przytaknął mężczyzna, podążając za siostrą Dorotą Truett w dół korytarza. Zaczął cichuteńko gwizdać między zębami w rytm uderzeń jej wypolerowanych butów po drewnianej podłodze. To mogła być jakaś stara melodia gospelowa, coś znajomego, choć jakoś nie mogła jej skojarzyć z konkretnym tytułem. Z jakiejś przyczyny zirytowało to Dorotę Truett. Przyspieszyła nieco kroku, żeby wybić go z rytmu, wysuwając się szybko do przodu. Przestał gwizdać. I dobrze. Ale teraz usłyszała, jak głośno wciągnął powietrze nosem. Wiedziała, co robił. Używała olejku różanego do prostowania i zaczesywania do tyłu włosów. Niektórym mężczyznom ten zapach wydawał się atrakcyjny, choć zdecydowanie nie używała olejku w celu wywołania takiego efektu. A tu teraz ten facet wchłania jej zapach jak pszczoła uganiająca się za świeżym nektarem. Dorota Truett zmarszczyła brwi. Nie miała w pracy czasu na tego typu bzdury. A to na dodatek miał niby być sługa Boży.

Zatrzymała się i spojrzała mu prosto w oczy.

– Tak mi przykro, że nie mamy budżetu na zatrudnienie kapelana.

– Nie ma sprawy.

Jego oczy w pierwszej chwili zupełnie ją zaskoczyły. Były niebieskie jak jaja drozda wędrownego, niewątpliwie pamiątka po niejednorodnych rasowo przodkach. Oczywiście, to była Luizjana, gdzie tego typu zjawiska nie należały tak naprawdę do rzadkości. Nie mniej trzeba było chwili, żeby się do tych oczu człowiek przyzwyczaił.

– Czy jest pastor pewien, że chce wziąć tę robotę? – zapytała.

– Tak, proszę pani.

– Mam nadzieję, że nie będę wścibska, jeśli się zapytam, co takiego mogłoby kogokolwiek skłonić do zrezygnowania z posady kapelana w sierocińcu w Nowym Orleanie i przyjazdu do takiego miejsca jak to, żeby szorować podłogi?

– Służę Panu tam, gdzie On mi wskaże, proszę pani.

Coś tu się nie zgadzało, ale nie umiała powiedzieć, o co dokładnie chodzi. Jeszcze nie umiała. Przez chwilę patrzyła mu prosto w oczy, dając mu do zrozumienia, że nie trafił na naiwną, potem wzruszyła ramionami i zaczęła dalszą wędrówkę w dół korytarza.

– Co jakiś czas będzie pastor mógł się przespać w tym czy innym łóżku – ilekroć któreś będzie wolne. Nie mamy jednak oddzielnego pokoju.

– W porządku – odparł domniemany duszpasterz, rzucając okiem w kierunku drzwi, obok których właśnie przechodzili. Zwolnił i zatrzymał się. Bez

patrzenia wiedziała, co takiego tam zobaczył. Cztery łóżka, z których trzy były zajęte. Na najbliższym z nich młoda kobieta z nabrzmiałym brzuchem spała na plecach, a pod gładkimi powiekami widać było jak oczy ruszają jej się, tak jakby śledziła jakieś przesuwane się w różne strony przedmioty. Całkiem niebrzydka kobieta, z pełnymi ustami i nieskazitelną czekoladową skórą. Dorota Truett stanęła obok mężczyzny w tym samym momencie, kiedy przez twarz Rosy Lamont przebiegł lekki grymas, po którym zaczęła bezgłośnie poruszać ustami, jakby zwracała się do kogoś ze swego snu.

Stojąc u jego ramienia, patrząc razem z nim na śpiącą kobietę, Dorota Truett wyszeptała

– Będzie pastor odpowiedzialny za czystość podłóg na obu piętrach. I nie tylko podłóg, oczywiście. Za czystość w ogóle. Ściany, umywalki, nocniki, okna i tak dalej. Za wszystko. Mamy tylko trzy pielęgniarki, łącznie ze mną, a my nie zajmujemy się sprząaniem. Mamy za dużo do roboty i bez tego.

– W porządku – odpowiedział automatycznie, nie zwracając tak naprawdę na nią uwagi.

Poczuła nagły przypływ zniecierpliwienia.

– Pokażę teraz pastorowi schowek woźnego. – Kiwnął głową, nie odwracając nawet wzroku od sali szpitalnej.

– Tak, proszę pani. – Nie ruszył się z miejsca.

– W tym kierunku, proszę – powiedziała.

– Czy ta kobieta się dobrze czuje?

– Pani Lamont nic nie będzie. To będzie jej czwarte dziecko.

Potrząsnął głową. – Coś jest nie tak.

– Co pastor ma na myśli?

– Coś jest nie tak z jej dzieckiem.

Przez dłuższą chwilę nie mogła zrozumieć, o co mu chodzi. Bo przecież skąd on niby mógł wiedzieć? A mimo to, z wszystkich rzeczy, które mogły mu przyjść w tej chwili do głowy, właśnie to...

– Doktor Jackson mówi, że to łożysko przodujące – powiedziała Dorota Truett, czując przedziwne ssanie w żołądku. Dziecko jest położone za nisko. Trzeba będzie zrobić cesarskie cięcie.

– Cesarskie?

– Doktor będzie musiał wyjąć je operacyjnie, kiedy nadejdzie pora rozwiązania.

Mężczyzna zbliżył się o krok do otwartych drzwi.

– Zmiłuj się, Boże – wyszeptał.

Przyglądając mu się teraz uważniej zapytała:

– Skąd pastor wiedział?

Wciąż nie odrywał wzroku od śpiącej kobiety.

– Hm?

– Skąd pastor wiedział, co jej jest?

Zauważyła, że lekko potrząsnął głową, tak jakby przywoływał sam siebie z jakiegoś odległego miejsca. Odwracając się w jej kierunku odparł:

– Po prostu tak czułem.

Kiedy Dorota Truett patrzyła mu teraz w twarz, zniknęło z jej serca wszelkie rozdrażnienie, a jego miejsce zajęło jakieś ciepłe i miłe uczucie. Nagle miała wrażenie, że temu człowiekowi mogłaby zaufać w każdej sprawie. Absolutnie każdej. Nie miała nigdy takich odczuć w stosunku do nikogo wcześniej w swoim życiu. To było bardzo... dziwne.

– Mówił pastor, że nigdy wcześniej nie pracował w szpitalu.

– Zgadza się.

– Proszę się nie martwić. Rosie nic nie będzie. Dlaczego zależało jej na tym, żeby go uspokoić?

– Tak, proszę pani – powiedział. – Wierzę, że wszystko będzie w porządku.

A skąd on niby mógł *to* wiedzieć? Ech, wystarczy już tych bzdur. Przecież to tylko jakiś wyrobnik szukający zajęcia, a ona się tu zachowuje jak niepoprawna romantyczka. Wskazując ręką na koniec korytarza, siostra Truett powiedziała:

– Czy już możemy... pastarze Poser?

– Oczywiście, proszę pani – odparł. – I jeszcze jedno, jeśli pani pozwoli. Skoro mam tu być woźnym, zwracanie się do mnie „pastarze” chyba nie byłoby właściwe. Wystarczy mówić do mnie Hale.

Patrzcie państwo! Nie spędził tu jeszcze trzydziestu minut i już próbuje przechodzić na ty.

– Nie wydaje mi się, abyśmy znali się na tyle dobrze, aby mówić sobie po imieniu – odparła.

Uśmiechnął się i pomimo najlepszych wysiłków, żeby tego uniknąć, znów wypełniło ją to samo ciepłe uczucie co chwilę wcześniej. – Czy „pan Poser” bardziej by pani odpowiadało?

– Tak będzie o wiele lepiej – odparła siostra Truett, prowadząc go w kierunku schowka woźnego, zostawiając Rosę Lamont sam na sam z jej sennymi przeżyciami.